OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Rok XIX. WARSZAWA. Dnia 29 marca 1924 r. № 13.

Cena niniejszego numeru Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

Rok XIX. № 13 z dnia 29 marca 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

Czy można przewidzieć trzęsienie ziemi?

Na progu wielkiego odkrycia.

I.

Są pytania, wobec których ludzkość cała zataja oddech. Do nich należy pytanie:

— Czy można przewidzieć trzęsienie ziemi? Czy można wybuchy wulkanów ująć w normy zjawisk, podległych pewnym prawom stałym, jak zaćmienia słońca lub księżyca?

Nauka, przez usta najwytrawniejszych sejsmologów, odpowiadała dotąd na pytania te beznadziejnem: nie! Najpotworniejsza z klęsk osaczających człowieka czai się wciąż w niedocieczonym mroku żywiołów, nie znających, zda się, innego nad sobą władcy ponad ślepy okrutny przypadek.

Najgłębszy płacz niedoli, jaki wydarł się z piersi człowieka ku Niebiosom, aby broniły go od moru, głodu, ognia i wojny, nie śmie wymienić tego najokropniejszego z kataklizmów, którego zgroza podcina sam sens istnienia ludzkiego na ziemi i w wątpliwość podaje ów niewzruszony akt przymierza między Człowiekiem a Bogiem, jaki największe religje świata stawią u praźródeł wiary.

Czy w zrezygnowanej duszy Japończyka nie dlatego zachwiało się wyobrażenie Opatrzności i pozostała jedynie wiara w prochy i w duchy przodków, że Bóg tego kraju rozprysnął się pod gruzami własnych świątyń?, że Opatrzność jego legła pod gruzami życia, raz po raz, od tysiącoleci, druzgotanego przez konwulsje ziemi?

Człowiek, którego pokory uczy głód, wojna, pożar i śmierć, wszystkie te ciosy potrafi spotykać czołem otwartem i mężnem; przeciwko wszystkim znalazł środki i źródła otuchy w nieprzebranym instynkcie życia. Nawet przeciw śmierci wydobył z ducha swego moce wielorakie, które pozwalają mu strach jej przezwyciężać i nawet iść ku niej spokojnie.

Ale trzęsienie ziemi ma w sobie coś z Sądu Ostatecznego. Przekreśla wszystkie rachunki. Kładzie kres wszystkim wiarom ziemskim. Zabija życie w ogniskach jego instynktu.

I dlatego człowiek, nie mogąc pogodzić się z tą niepochwytną groźbą przepaści, u stóp swoich rozwartą, usiłuje tajń jej pochwycić, ograniczyć, zwęzić, lub chociażby określić; i dlatego, usłyszawszy po raz tysiączny z ust nauki odpowiedź przeczącą, puka do ich wielkich instancyj po raz tysiączny pierwszy i pyta: Czy można przewidzieć trzęsienia ziemi?

I, oto, stała się rzecz nieoczekiwana.

Śród milczenia wysokich sfer nauki, ubogi stolarz, czy może syn stolarza, z Faenzy, jako samouk od lat piętnastu ślędzący zjawiska sejsmiczne, odparł:

— Można.

II.

Poruszyła się opinja Włoch. Rafael Bendandi, przed kilku jeszcze tygodniami nieznany rzemieślnik z prowincji toskańskiej, stał się bohaterem dnia. W dziennikach, w salonach, na placach miejskich mówi się o nim z wiarą, mówi się o nim z ironją, ale mówić się o nim nie przestaje. Zabrali głos uczeni i profesorowie. Imię zjawiskowego samouka przekroczyło ojczyznę i odbija

się już echem za granicą. Mała, ustronna mieścina włoska zaroiła się od wywiadowców, korespondentów pism stołecznych, wysłanników ajencyj telegraficznych, które przepłacają się nawzajem, by uzyskać od Bendandiego wyłączne prawo ogłaszania jego przepowiedni. On wszakże uchyla się od najkorzystniejszych nawet tranzakcyj, nie wyjawia istoty swego odkrycia, tłumacząc, że nie wysnuł jeszcze wszystkich wniosków ze swej teorji; mówi jedynie pod naciskiem, skąpo cedząc słowa, to wszakże, co mówi, jest tak ogromne w skali założenia, tak oszałamiające, że mała, zaciszna Faenza w wyobraźni wielu wyrasta już na wielką stolicę umysłowości, gdy tymczasem inni pytają z niecierpliwością;

— Kimże jest ów Rafael Bendandi? Jest szaleńcem, genjuszem, czy też genjalnym wreszcie oszustem, który zagrać potrafił na strunach niepokoju, napiętych grozą ostatnich wielkich katastrof?

Jeżeli jest oszustem, to jest to oszust wysoce oryginalny. Odrzuca pieniądze, z któremi mu się nastręczają. Uprawia rzemiosło stolarskie, z którego skromnych zarobków utrzymuje siebie i rodzinę; unika popularności i rozgłosu. A, co najdziwniejsza, ów oszust czy kuglarz przepowiedział 22 trzęsienia ziemi, wskazując niemal ściśle dzień i godzinę. Aby uchylić podejrzenia, jedną przepowiednię swoją złożył u notarjusza. Są to wszystko fakty sprawdzalne i rzeczywiście sprawdzone. Gdyby na chwilę przypuścić, że mamy do czynienia z kuglarzem, który wyzyskuje zbieżności trafu, trzebaby uwierzyć w szczególną moc tego kuglarstwa, któremu podziemna gra żywiołów nadbiega z pomocą, urzeczywistniając aż w tylu wypadkach kaprysy jego proroctw.

Atoli sam Bendandi podaje przepowiednie swe nie za proroctwa, ale za zupełnie naturalne wyniki swoich badań naukowych, pokrewnych tym, jakiemi posługuje się astronomja, budując swe niezłomne prognozy. Teza jego głosi, że wulkany oraz trzęsienia ziemi zależne są w istocie od tej samej przyczyny sprawczej, i że istnieje związek niezawodny między wszystkiemi zjawiskami, które tak wybuchowo ujawniają się to w tej, to w owej części globu.

Lecz posłuchajmy, jak sam on opowiada dzieje swego odkrycia w rozmowie z korespondentem „Corriere Italiano", panem Tieri.

III.

— Od pierwszych lat młodości — mówi Bendandi—byłem zapalonym miłośnikiem nauk fizycznych; lecz w roku 1908, a mianowicie natychmiast po strasznym pogromie Messyny, poświęciłem się wyłącznie trzęsieniom ziemi, rozmyślając długo nad ich możliwemi i prawdopodobnemi przyczynami. Dlaczegóż— pytałem sam siebie—groźne te zjawiska zdarzają się w pewnych tylko, nie zaś w innych, okresach? Co je powoduje? Ta niepokojąca zagadka przyrody zachowała przez czas długi i dla mnie wszystkie swe znaki zapytania. Żadna z hipotez nie dawała wyników zadowalających. Razu pewnego, jakgdyby błyskawica przemknęła mi przez głowę. A może — pomyślałem — to jest właśnie ową poszukiwaną przyczyną?

— Jąłem próbować, obserwować, badać,—i z najwyższem zdumieniem spostrzegłem, że wszystko się sprawdza. Ponieważ mogły trafiać się zbieżności przypadkowe, ponawiałem próby swe dziesiątki i setki razy, posługując się wiadomościami o trzęsieniach ziemi, podawanemi przez dzienniki. Nie, nie był to przypadek. Istniało tu i istnieje prawo.

— Wszelako zbyt wcześnie jeszcze było na formułowanie jakiejkolwiek teorji. Istotnie, jakże śledzić szybkie przesuwanie się, ustawiczne krążenie działalności sejsmicznej na globie bez pomocy dokładnych przyrządów, rejestrujących zjawisko nawet wtenczas, gdy zachodzi ono w krainach bezludnych lub na dnie oceanów?

— Wziąłem się przeto do pracy; i acz nie jestem mechanikiem, po długim szeregu prób udało mi się urządzić sobie pierwotny sejsmograf. Wprędce spostrzegłem, że mi nie wystarcza. Poszukiwania moje wymagały instrumentów jak najdokładniejszych. Nie dałem za wygranę. Pracowałem lata. I dziś jestem w posiadaniu doskonałego obserwatorjum, z pięcioma instrumentami i stałą rejestracją.

— Z tak udoskonalonym aparatem, notuję wszystkie wstrząsy ziemi, z pomocą zaś licznych biuletynów sejsmicznych innych obserwatorjów, rozmieszczonych po całym globie, mogłem prowadzić olbrzymią pracę kontroli. Nie dość na tem. Spojrzałem w przeszłość, i zbadawszy wszystkie sygnalizacje telurycznе, datujące się od roku 1895, t. j. od czasu, w którym zbudowano pierwsze instrumenty sejsmiczne, pogłębiłem i utwierdziłem swą nową teorję, która dziś spoczywa na pod-

stawach granitowych. Dlatego śmiem utrzymywać stanowczo, że dociekłem prawdziwej przycyny trzęsienia ziemi, i że świat naukowy stoi w przededniu rewolucji, mogącej stworzyć nową erę w dziejach myśli.

— Kiedyż ogłosi pan swoją teorję? — spytał Tieri.

— Tego nie mogę jeszcze oznajmić! Tymczasem służę jej wynikami praktycznemi w postaci przewidywań; samej teorji ogłosić jeszcze nie mogę. Udało mi się ująć istotną przyczynę wstrząśnień tellurycznych, ale dotąd nie zdołałem sprecyzować miejsca, w którem one zajść mają. Silne trzęsienie ziemi, przewidywane w Europie, zdarzyć się mogło również w Azji, i naodwrót. Niedawne trzęsienie ziemi w Japonji było tego dowodem. Kilkakrotnie co prawda, zdołałem również wskazać dokładnie miejscowość (np. co do trzęsienia ziemi d. 21 grudnia r. z. oraz d. 2 stycznia r. b.); jednakże badania w tym kierunku są jeszcze bardzo niepewne.

Wszelkie nalegania, by odsłonił zdobytą przez się tajemnicę, Bendandi odpiera nieustępliwą odpowiedzią:

— Pragnę sam dopełnić swego dzieła. Chcę zdobyć możność wskazywania nietylko czasu, ale i miejsca grożących katastrof. Wtenczas, gdy ją zdobędę, ogłoszę niezwłocznie swą teorję. Tymczasem pracować chcę nadal, jak dotąd, w samotności. Jestem zazdrosny o swój sekret.

Tyle Rafael Bendandi o sobie.

To, co mówi, wedle sprawozdania świadków naocznych, tchnie powagą i rzetelnością przekonania. Powaga ta nadaje niepoślednią moc jego słowom. Ale moc piorunową nadają im fakty: przepowiednie, które się sprawdziły i które sprawdzają się w dalszym ciągu z miesiąca na miesiąc. W ciągu ostatnich kilku tygodni przewidział on trzęsienie ziemi we Włoszech środkowych, wstrząśnienie w Japonji, wreszcie to ostatnie, którego widownią była Kolumbja.

IV.

Jak nowinę Rafaela Bendandiego przyjął akademicki świat naukowy?

Zrazu z olimpijskim spokojem lekceważenia.

Profesor M a l a d r a, dyrektor „Osservatorio Vesuviano" pod Neapolem, orzekł, że Bendandi nie mógł dokonać nic poważnego, ponieważ, z pewnością, nie zna on wyższej matematyki, fizyki, mechaniki i tych wszystkich umiejętności, na których wspiera się sejsmologja nowoczesna.

Profesorowie Agamemnone i Vincentini, kierownicy obserwatorjum w Rocca di Papa, odrzucili wręcz możliwość jakichkolwiek przewidywań w dziedzinie zjawisk telurycznych.

Nie pierwszy to raz w historji ubogi stolarz lub cieśla, przynoszący światu wielką myśl odkrywczą, znajduje drzwi mędrców zamknięte i uszy głuche na wołanie prawdy.

Jednakowoż spokój wyniosłych hierarchów nauki, a raczej dogmatyzmu nauki, ma swe granice. Można było lekceważyć przewidywania i przepowiednie samouka, ale niepodobna lekceważeniem pomijać wulkanów i sił wulkanicznych, które do przepowiedni tych stosują się ze skwapliwą dokładnością. W obozie purpuratów i arcykapłanów nauki zawrzało. Stanęli oni wobec dramatu, jaki staje się udziałem arcykapłanów zawsze, ilekroć na drodze ich dogmatów stanie myśl nowa, nie mająca jeszcze swych ołtarzy w starych przybytkach kultu.

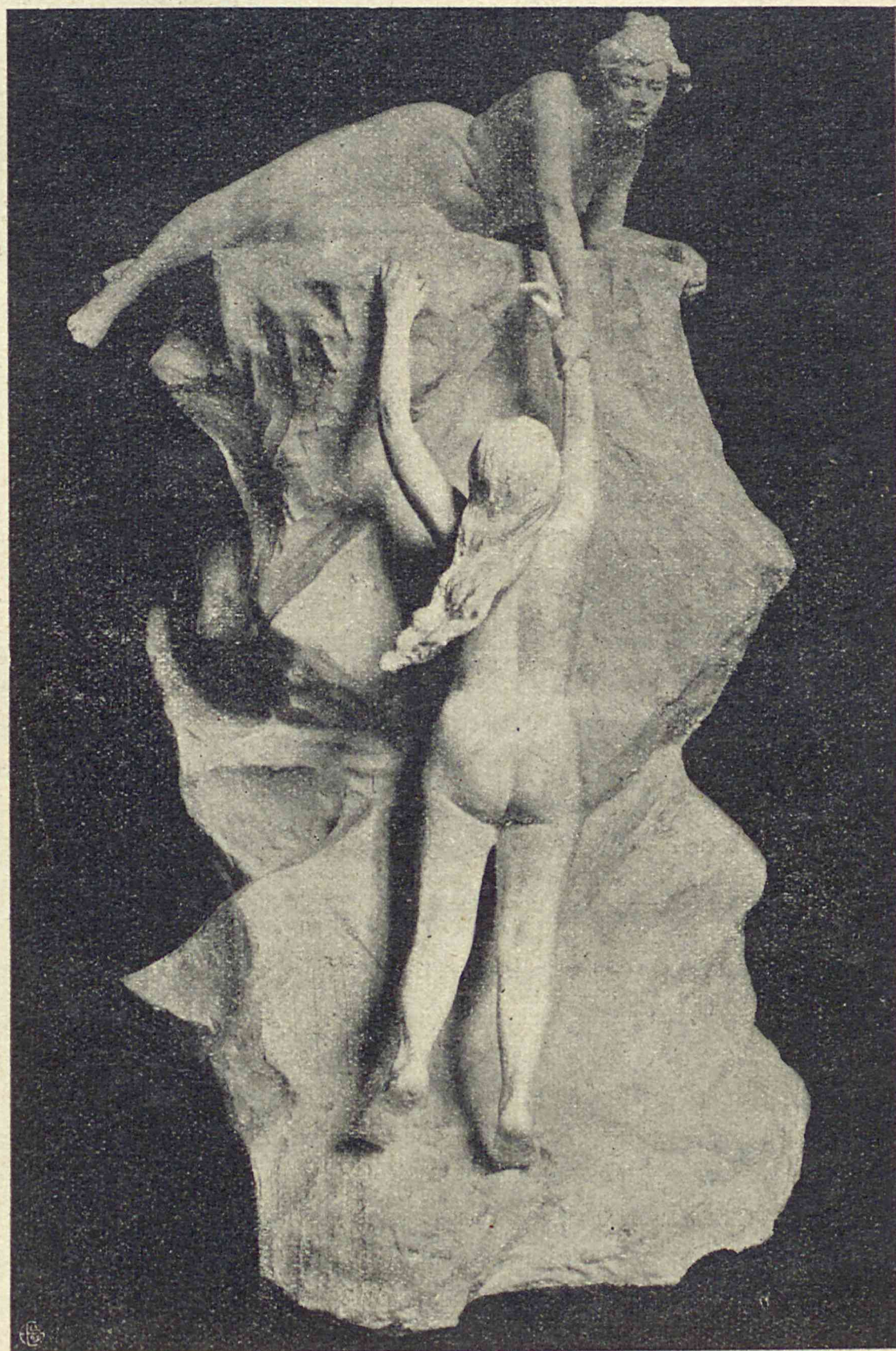
— Zabić ideę, czy wznieść dla niej nowy przybytek?— oto wiekuista oś tego dramatu.

Częstokroć jednakże bywało i tak, że naprzód zabijano ideę, a potem na jej grobie wznoszono nowy ołtarz.

Miejmy nadzieję, że tym razem będzie inaczej, i że myśl Bendandiego, stolarza z Faenzy, o ile, istotnie, jest myślą wielką i twórczą, i w tej również dziedzinie stworzy erę nową.

Rzym. *Andrzej Boruta.*

Z pośród wybitnych dzieł współczesnego rzeźbiarstwa.



J. GABOWICZ: „Otchłań".

Obrazy Władysława Wankiego na wystawie grupy „Pro Arte" w Zachęcie.

W kolekcji obrazów grupy „Pro Arte", znajdującej się obecnie na wystawie w „Zachęcie", powszechną uwagę zwracają świetne, nastrojowe płótna, jednego z mistrzów naszego malarstwa, Władysława Wankiego. Ciepłe, złote tony jego krajobrazów mają w sobie coś z ukojnej pieszczoty pogodnego, słonecznego, letniego popołudnia. „Morskie pobrzeża", tylokrotnie wyczarowane przez jego artystyczną wizję, i w tej kolekcji śpiewają hymn pochwalny bajce dali, legendzie przestrzeni.

Władysław Wankie poszedł obecnie w koncepcjach swoich malarskich na drogi dekoracyjności. Szczególnie sceny z życia kresów białoruskich ujawniają tę tendencję artystyczną twórcy „Kopania kartofli". Swiadczy to o woli konstrukcyjnej. Kresy bowiem — to przecież malownicze światy, które oczarowały Chełmońskiego. Wykarmiły one mlekiem swojem najtęższe nasze talenty. Na wielkich przestrzeniach ziemi niemal dziewiczej rodzą się tu rapsody, podobne pieśniom Słowackiego o Rzewuskim. Każda dusza, czująca poezję przyrody, tu spowiada się i zwierza ze swych smutków, niezgłębionej melancholji i z tego żaru słonecznego, co świat tamtejszy opromienia i złoci.

Różnice tonu krajobrazowego spostrzega się już chociażby w Grodzieńszczyźnie: niebo tu inne, mocniejsze kolory, efekta barwne skondensowane. To ujarzmia psychikę malarza, a oczy napełnia niepokojącą tęsknotą do pędzla. Praca owłada tu każdym prawdziwym artystą. I praca to niezwykła. Jak bowiem zakląć na płótnie czary słońca, purpurę horyzontów, topazy i szafiry łąk i lasów? Tylko wielki jakiś złotnik potrafiłby zrobić klejnot równy a choćby podobny tamtejszej przyrodzie.

Można z tych skarbów wziąć ułamek, cząstkę, coś, co przypomina choć widzianą bajkę barw. Gdy na płótnie pozostanie i płonie ta odrobina wizji poczętej wśród czarów tej przyrody — to dowód, iż artysta darmo nie tracił tu czasu i pozostawił sztuce rzetelną pamiątkę.

Władysław Wankie czar tych barw zaklął w swoich płótnach w całej nastrojowej i dekoracyjnej harmonji.



Władysław Wankie.

Oto obraz. Odwieczerz. Na dalekich rozłogach zalega cisza. Zrzadka tylko dobiega głos pastucha, lub kobiet spieszących do domu. Uroczysty spokój tych złotawych przestrzeni ożywiają słupy jasnego dymu, ciągnące ku górze. Łagodny wiatr błyska z popieliska i dusi je na chwilę. To odbywa się pieczenie kartofli.

Wankie moment taki utrwalił na jednym ze swoich obrazów, spłacając dług dzieciństwa. Któż w lata swoje młode nie chciał biedz do tych pasterskich ognisk? Kto nie marzył o nich, jak o cudach, znacznie piękniejszych, niż opowieści piastunki? Któż wreszcie nie nosi w skarbnicy swoich wspomnień szarawych dni jesiennych, w które całe chmary kobiet wyciągają w pole, by kopać kartofle? Wankie i temu wspomnieniu postawił pomnik swojej malarskiej wizji.

Czuć, iż jest chłodnawy dzień. Opary na niebie. Kłębią się gęste chmury. Wśród nich wrony, nieodstępne towarzyszki człowieka, ważące się w powietrzu. Jedne spadają w świeżo rozdartą motyką ziemię. Inne dalej lecą za żerem.

Każdy zresztą z obrazów Władysława Wankiego posiada taką swoją uczuciową, wzruszającą, piękną treść. Miłośnik przyrody i miłośnik sztuki staje przed niemi w słodkiej zadumie. Przez obrazy te mówi bowiem poeta i słowom daje kształty plastyczne mistrz pędzla. Ile miękkości w dotknięciu ręki, ile finezji w harmonizowaniu barw, ile ciepła w samej wizji!

Nowa ta kolekcja obrazów Władysława Wankiego świadczy, iż bujny jego talent jest wciąż w jak najlepszej formie i nic nie traci ze swojej świeżości. Sztuka jego jest bowiem tajemnicą kultywowania młodości i żywotności.

F.

Z Salonu Sztuki Czesława Garlińskiego.



Jacek Mierzejewski „Prymula".
Fot. St. Brzozowski.

NIEUSTĘPUJĄCA ZIMA NA POLESIU.

Po twardej, ciężkiej zimie zawitały do nas pierwsze promienie wiosny. Na Polesiu natomiast śniegi i lody dalej trzymają w swoich objęciach ziemię, rzeki i jeziora. Poluje się tu na wilki, zwozi siano, a w chatach patrjarchalnym zwyczajem dziewczęta snują nić przy kołowrotkach.



Na przełaj przez zamarznięte jezioro suną wozy naładowane sianem. Dla pewności przed wilkami każdy woźnica uzbrojony jest w celną dubeltówkę.



Zagroda wieśniaka, zawalona śniegiem. Nie widać drogi, nie znać śladów życia, sterczą tylko ogołocone pnie drzew.
Fot. C. E. P. S.



Turkocze kołowrotek, rozbrzmiewa pieśń tęskna lub zwycięska i wije się nić w długie wieczory poleskie.



Przy ognisku na skraju lasu rozgrzewają się myśliwi. Niebawem rozrzucą się w łańcuch i pójdą na stanowiska.

TRAGEDJA PUSZCZY.

6) (*Kartki o Białowieży*).

VI.

Ptak czarny, dwugłowy zawisł nad puszczą; potwór — znak gniewu Bożego.

Za winy ojców. Ale, gdyby ich o to zapytać, rzekliby pewnie: — za dziadów...

A każdy głosiłby inną klęski przyczynę:

Mieszczanin — wolność szlachecką. Żołnierz—dowództwo. Kmieć—panów.

Księża — brak wiary, polityk — *Liberum veto*.

Fatalista — że losy...

Ale, nikt nie był winien, w swem przeświadczeniu, więc — wszyscy.

Jak dzisiaj, gdy ledwo lat kilka wolności, a wolność,—jak dziecko...

„Ja chcę tego, ja tego, a inny wskazuje na trzecie — zbawienie, tedy gotowa Rzeczypospolitej niezgoda i zguba" — jako rzecze Piotr Skarga.

* * *

Niedrogo sprzedała się Polska. Bez złudzeń, porywów — za złoto. Za lafy miesięczne imćpanów, u władzy i jurgielt królewski.

Niezbyt ją też, widać, Katarzyna ceniła, i jak człowiek, gdy mu coś łatwo przypadnie, rozrzutna, obdarzała ziemią niewolną wybrańców.

A było ich wielu, jak różna zasługa: czasem żadnej nie było, a tylko jedna chwila przemożnej chimery wynosiła dworaka na szczyty. Inny do nich nie sięgnął w połowie za cały żywot ofiary z krwi, serca, dla matki-carycy.

Za to, na magnackiej fortunie panoszył się nieraz chłop prosty, z szeregu, obdarzony miłościwem wezwaniem... a nazajutrz patentem szlacheckim i ziemią — „za hrabrost".

Oczywiście, że na te użytki, złożyła i puszcza dań z borów.

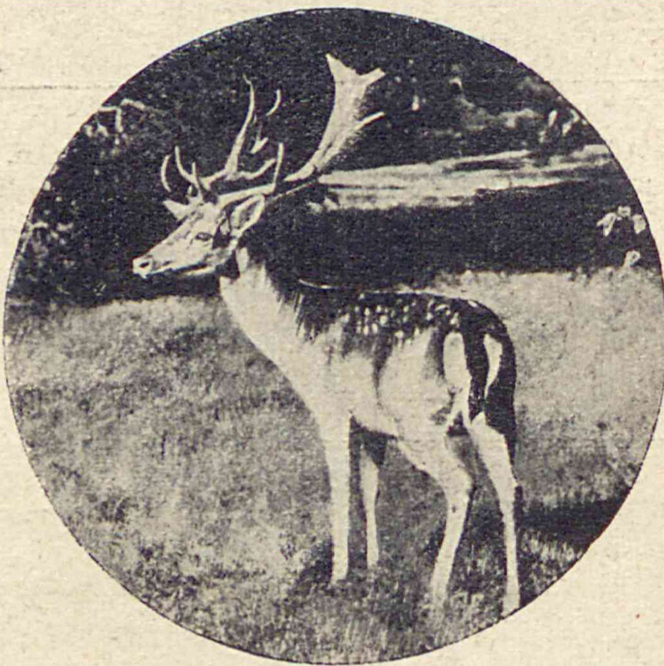
Znaczną połać, od wschodniej granicy — tysiąc włók z górą, sięgających daleko w jej głębie, otrzymał hrabia Rumiancow, onże-Zadunajski.

Od północy-zachodu znacznie mniejszą przestrzenią podzieliły się grafy Fersen i Sievers, a Kutuzow dożywociem otrzymał Białowież, Narewkę. Pożywili się także faworyci pomniejsi, przez co w tak starganej całości wielce utrudnionem się stało gospodarstwo łowieckie.

Cóż tam mogła z tego rozumieć, w murach pałacu i w sobie zamknięta?

Po za tym nowym rozbiorem, nie przydarzyło się w puszczy nic szczególnego i tak trwała przez lata, zdana tylko na losy, zacichła, bo już pustką świeciły walące się budy tartaków, potażnie, niszczejące ostatki twórczych pana Tyzenhausa zabiegów.

Za to biło życie wśród borów nieprzebraną mocą. A choć zwierz zmarniał ciężkiej zimy głodowej, odrodził się rychło; z pod kłód burzą zwalonych młode pędy już biegły—nie imała się puszczy żadna zła dola, na długo, jak narodu nieszczęście niewoli.



Daniel. Fotografja z natury.

Dopiero w roku 1812 dwie klęski zwaliły się na nią: ogień i wojna.

Jakoś, o wiośnie, za suszy niezwykłej, wzbiły się nagle czarne kłęby nad borem; przybiegli z pomocą, co w tysiące urosła, ale już ani ująć żywiołu. Szedł falą szeroką, trawiąc nagromadzone przez lata stosy gałęzi, susz leśny, obalone drzewa.

Dniem, nocą szli za ogniem, jakby wroga targali bokami, przecinali mu drogi. Ale wnet się przerzucał, to znowu na tyłach, z pozornie zamarłych popielisk wspinały się dymy. Zrazu chwiejne, sykliwe, aż się zwarły ze sobą. Zatajonym płomieniem rozbłysły, w jedno kłębowisko pożogi, a już, niby kir za nią, zarzewiem trawiony, szlak czarny zniszczenia i ciszy.

Trwało cztery miesiące i ledwo jesienią, gdy spłynął żywioł na żywioł, rzęsista ulewa przemogła siłę złowrogą.

Moc leśnych żywotów zginęło podówczas: drzew setki tysięcy, po których tylko wyżarte płaszczyzny zostały, i mnóstwo zwierza.

Część jednak zdołała się wynieść do sąsiedniej Świsłoczy pana Tyszkiewicza, z którym potem car Aleksander długo się wodził o żubry.

Było ich jednak w tym czasie najcięższym jeszcze około czterystu.

Wojna zastała już puszczę przez pożogę zniszczoną. Szczęśliwie jednak nie gościła tu długo: po bitwie u Prużan, gromem przewaliła za bory i poniosła się dalej, zostawiając za sobą niegrzebany cmentarz. Zaczem rozmnożyły się wilki w niesłychanej ilości, dręcząc przez długie lata i ludność i zwierza.

Po różnych sposobach obławy, sidłach, żelazach, truciźnie, ledwo je zmogły — pieniądze, gdy rząd ogłosił premje wysokie za każdy łeb wilczy. Długo grzmiało w puszczy od strzałów, długo jeszcze wilk broił...

Ale zaledwie przycichły wycia złowieszcze, a człowiek spokojniej się do snu układał, pewnej nocy majowej głuchy pogłos armatni uderzył w bory.

Niedługo, a pod Hajnówką się zwarli: jenerał Linden z Chłapowskim, któremu w sukurs pospieszył, z powstańczym oddziałem, Tadeusz Tyszkiewicz. Prawy syn Polski, upojną chwilę zwycięstwa opłacił stratą cudnej Swisłoczy...

I znowu — „za uśmirenie" car z puszczy wydzielił nagrody.

Rosyjski czynownik już się w niej rozsiadł na dobre. Z chmarą leśnych strażników, kancelarją i księgą, w której znaczył co roku, ile żubrów „wołki zajeli", a który „umier od starości let".

W tymże czasie, z najwyższego rozkazu, rąbać lasy poczęli. Padło odrazu dębów, dwułokciowej średnicy, cztery tysiące, połowę z nich zabrakował dziwnie grymaśny wydział budowy...

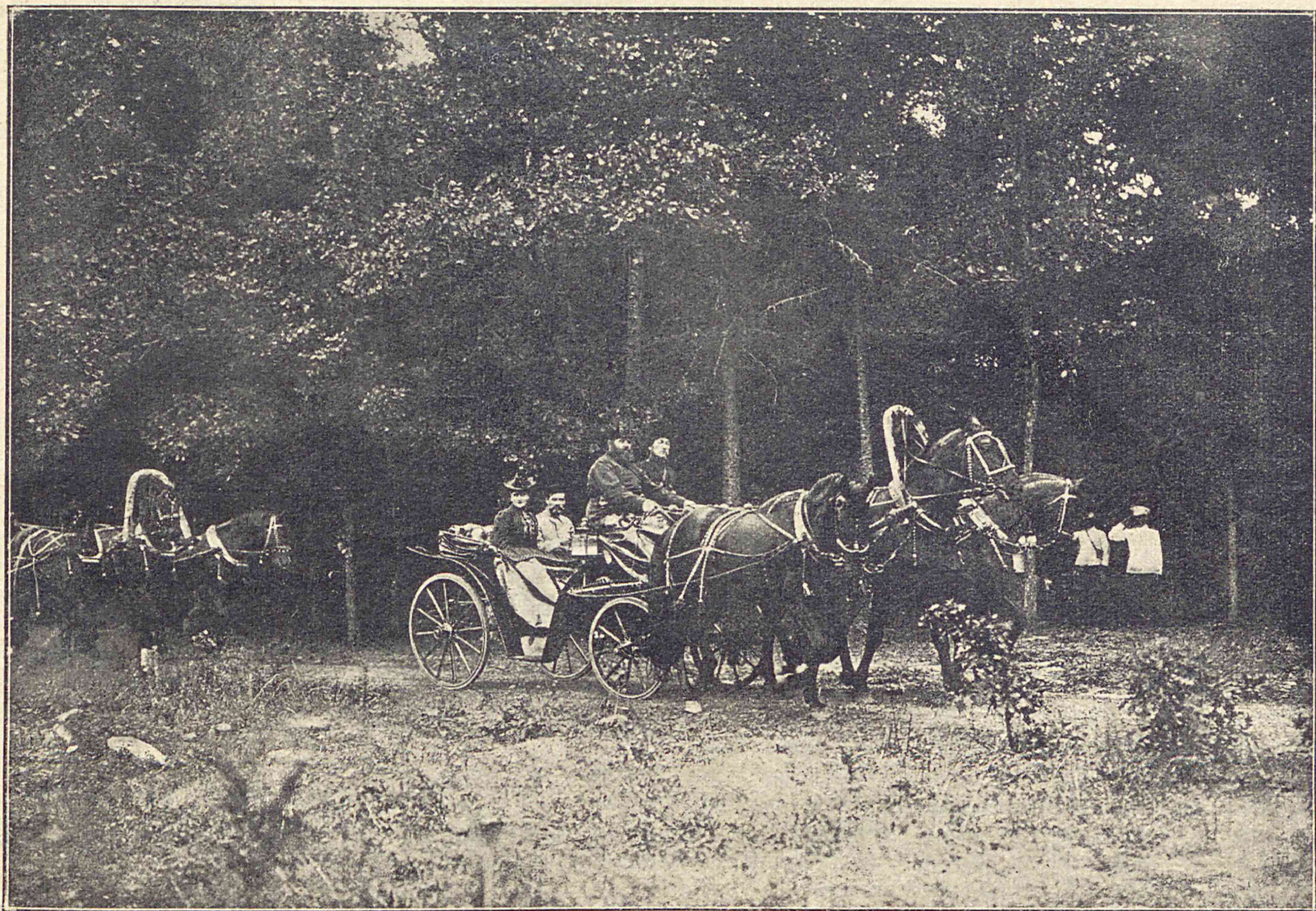
Potem szły sosny, jesiony na okręty niemieckie.

Jakby wróg władny, okrutny, nad puszczą się znęcał. Ale, siła żywotna, czy — dusza... tysiąc siekier w nią tłukło, nie zabili w niej, matki.

* * *

Powoli, ale, już się zdawało, niechybnie, sięgając kresu, wymierał żubr w kniejach.

Ledwo się tam jeszcze błąkało stad, z dziesięć i kilku byków—starców samotnych, co już od życia rodziny odeszli, snując się niby widma



Z przeszłości puszczy: CAR NA ŁOWACH.

posępne po uroczyskach, w ciemności zacichłych.

Już mówiono po świecie, że zwierz ten całkiem zaginął, a różne muzea zgłaszały się do leśnego zarządu o szkielet. Czasem tylko o czaszkę ktoś prosił, aby zachować ślad jakiś po życiu — tedy, jak bywa z pośmiertną zasługą, łeb niejeden wołowy podróżował z honorem, w zagraniczne kraje.

To zainteresowanie się Europy nie wpływało jednak na zachowanie ginącego gatunku. Raczej przeciwnie, podówczas, gdy za samą skórę żubra 500 rubli płacono, a kara za jego zabicie, ustanowiona przez zarząd, wynosiła — dwadzieścia.

W każdym razie leżało to w poczuciu korzyści urzędników „odnośnego" wydziału, aby życie stworzenia, tak cennego, przedłużyć, a przez to i byt własny, na zacisznej posadzie.

Tedy, pierwszym, a z duszy rosyjskiej, sposobem to było, że gdy przed „groznyja oczi" łowczego przywiedli zabójcę carskiej zwierzyny, ów karę przyjmował, za kwitem, a potem, dobrotliwie do straży:

— *A, nuko, bratcy... pa mordie...*

I bili — bratcy — bez gniewu, ale mocno i długo.

Chłop się żalił niekiedy, babę zeprał, jak zwyczaj, potem łeb opuchły koił psiem sadłem, a gdy przyszedł do zdrowia, podniósł skórę na tysiąc.

— Nu, i naród — polaki! — ale już z wyrazem uznania, z czego przyjaźń niedługo.

Niewątpliwie, że t. z. kłusownictwo przyczyniało się znacznie do wytracenia ginącego gatunku, były jednak i inne niepomyślne wpływy, a z nich najważniejsze, brak leśnej przestrzeni i łąkowej paszy.

Już od lat wielu, coraz dalej w puszczę zagłębiały się chłopskie siedziby, z roku na rok zjawiali się ludzie, co rozmaitym sposobem zdobywali przywileje własności i nieraz za jedyną zasługę — „za wierność swojemu Monarsze" osiedlali się w puszczy.

Z niemi, rzecz oczywista, zjawiał się inwentarz. Zaczem żywność konieczna, którą „gadzina", w czas letni, zdobywała własnym przemysłem, ale jednocześnie nadmiar tej paszy człowiek zabiegliwie gromadził na zimę.

Działo się zatem, że byle chłopska krowina wypierała króla puszczy z pastwiska, które było własnością tylko leśnej gromady...

Przytem nietylko tępił, ale przerażał go człowiek; gość, wtedy już w puszczy nierzadki. Po za nim, okrutny drapieżnik, wilk, czyhał. Ciągle nie dosyć niszczony przez straże, a nawet w pogardzie u chłopa, co nie widział w nim zgoła żadnego „prefitu".

Natomiast szanował niedźwiedzia — za futro. Żadne jednak stworzenie nie miało dlań tyle uroku, co ów dziki wolec, brodaty — dar łaski Opatrznej...

W tych warunkach, najgorszych, przy braku odpowiedniej opieki, trudno się było leśnego bogactwa spodziewać. Lecz biegły lata i powoli odradzało się życie, po klęskach.

Ale, choć trwały surowe nakazy, aby każdym sposobem żubrów puszczy przymnożyć, jakoś nikt długo o polowaniach nie myślał.

Dopiero rok 1860 przyniósł dzień uroczysty.

W skutku najpoddańszych raportów, car Aleksander, Najwyższym Ukazem, Najmiłościwiej raczył termin Łowów Najwyższych oznaczyć.

Jak to, przed wiekiem, dyspono-

wał król polski, wszakże był inny *effectus*...

— *Byt' po siemu!* — zrazu trwogą okrutną wszystkie dusze przejęło. Potem prąd carskiej woli w myślach troskę obudził, a od łowczego, grafa Fersena, po chłopca, przygłupka, z obławy, jakby wżarło się w życie i na jawie i we śnie — *byt' po siemu!*

I — było.

. . . .

Zawrzała puszcza dawno niebywałą robotą.

Sypali drogi, nowe dukty cięli przez lasy, dębowemi stemplami cieśla mosty podsadzał; u budynków krzątała się karna rzemieślnicza gromada, lecz głównym celem, który zaprzątał wszystkie umysły, było zdobycie łownego zwierza.

Główny leśnik słał ludzi w okoliczne bory, a sam, z 14-u oficerami korpusu leśniczych, setką straży, drugą osaczników, strzelców i 2000 obławy, pędzili dniem, nocą, co zdołali ogarnąć, w zamknięte tęgiemi dylami, tysiąc morgów rozległe, uroczysko — Grzybowiec.

Jednocześnie wygrodzono tamże obszar, około dwóch wiorst kw., gdzie środkiem biegła długa wyrąbana droga, a wzdłuż niej zbudowano strzelnice, t. z. *Stand'y.* Pozostała zaś przestrzeń zwierzyńca podzielona została na pomniejsze zamknięcia, skąd w dniu carskich łowów otworzyć miano wrota niewoli — pod pewne strzały.

Smutny, zaiste, musiał być widok tej tłoczącej się zwierząt gromady, gdzie rozdzielone wrogie gatunki za dni kilka spotkać się miały w jednem śmierci kolisku.

Tymczasem jednak człowiek otaczał staranną opieką, zwłaszcza żubrów stada posępne, w grozie przeczuć zamarłe. Wiele jednak z nich padło, zanim tej opieki przedśmiertnej dosięgły. Co drugi, co trzeci, pędem zmożony walił się w kniei, z nozdrzy krwią broczył, dźwigał się, słaniał, niedługo...

Także, z innej zwierzyny, chwytanej po lasach grodzieńskich, ledwo połowa przybyła na miejsce, a i sporo uciekło z ogrodzeń, przez różne przesmyki, których zwierz zawsze dopatrzy.

Ogółem jednak zebrano w dniu łowów żubrów 117, 5 łosiów, 14 danieli, 23 dzików, 36 saren, 17 wilków, 15 lisów, 14 borsuków i około 300 zajęcy. *)

Widać, Bóg dobry przychylił carowi Swej łaski...

Ale, podobno, leśniczy nie oglądał się bardzo na Boga. Prędzej oddałby życie, czy swoje, czy cudze, niż uchybił rozkazom. Wierzył tylko w ich siłę i skutek.

Z dnia na dzień czekano przyjazdu, a tak się zdawało, że już nie kipi, ale kłębem olbrzymim, przez puszczę przewala, robota. Strach był jej jednem natchnieniem, a termin — wyzwolenia nadzieją.

Paliło się w rękach... snu nie znał robotnik... a w ludzkie wrzawisko rozkazów, klątw, krzyków biły głosem rozpaczy poryki i wycia zamkniętych skazańców — niby, jakieś straszliwe, grozą śmierci objęte skargi, błagania, bolesne tęsknoty, co biegły daleko, słaniającą falą, wszystkich żalów człowieczych.

A tuż, obok znój ludzki, — jęk trudów, na chwilę krwawej, drapieżnej radości.

Była noc błoga, jesienna, jakby wskroś przepojona tą dziwną słodyczą, dla której niema wyrazów. tylko jedno odczucie.

Droga biegła przez bory, gdzie nawet w południe nie sięgało słońce. Zalewały ją blaski kolorowych ogni, stosów żwawo płonących i kłębnych beczek, a przez jasną, daleką jej wstęgę, rozechwianą w płomieniach, nie z tego świata ułudy — gnała, jak wicher, wrona trójka moskiewska... leciały z niej przenikliwe jamszczyka pokrzyki... za nim konie chrapiące... porwany w pędzie ogon pojazdów...

Jakby w kraj czarów bajki wyśnionej wpadły nagle złe duchy; nocnym sabatem zmąciły słodycz, stargały ciszę.

Car jechał w puszczę.

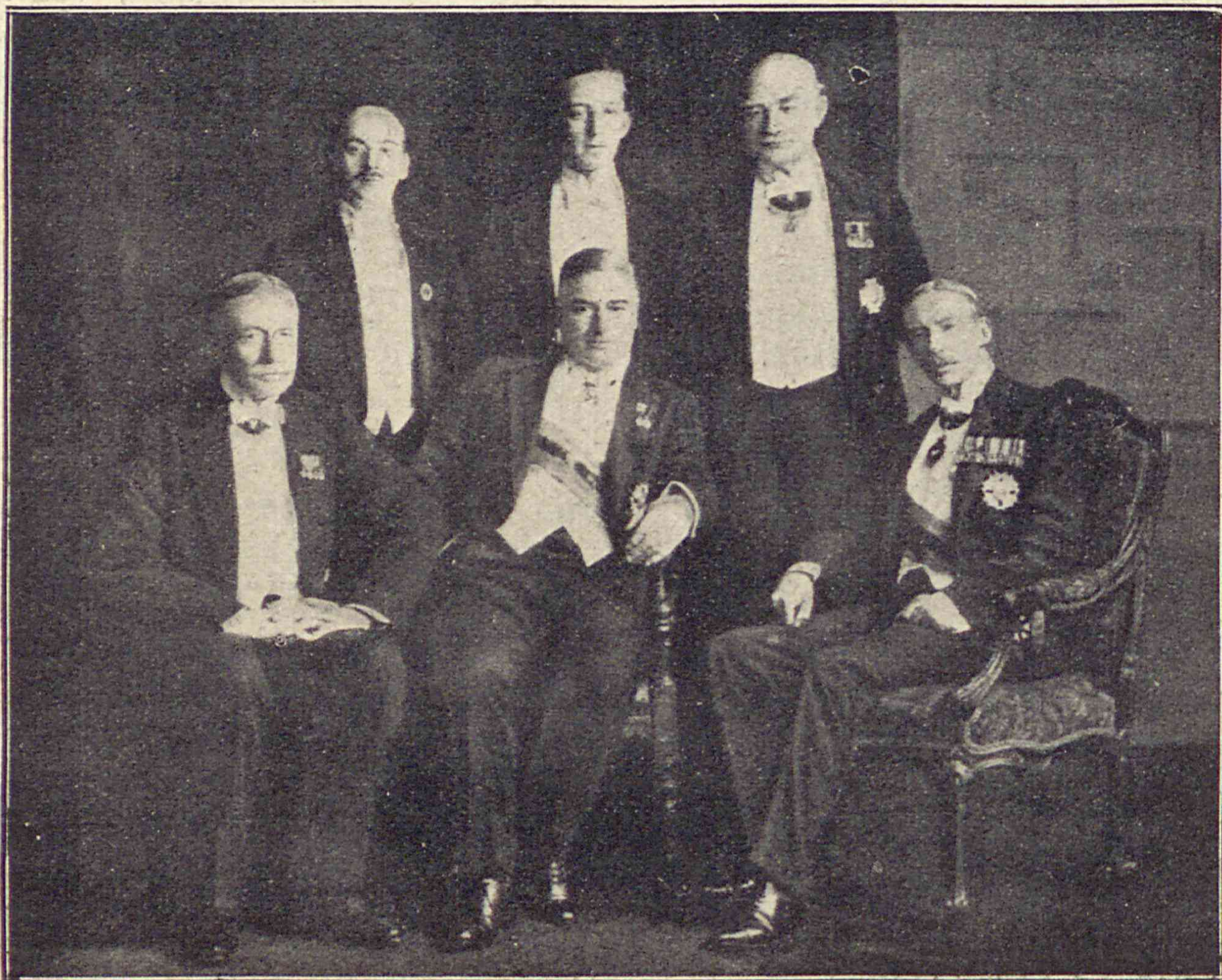
Zygm. Bartkiewicz.

D. c. n.

---

*) Wszystkie szczegóły ze źródeł.

Międzynarodowa wystawa w Anglji.

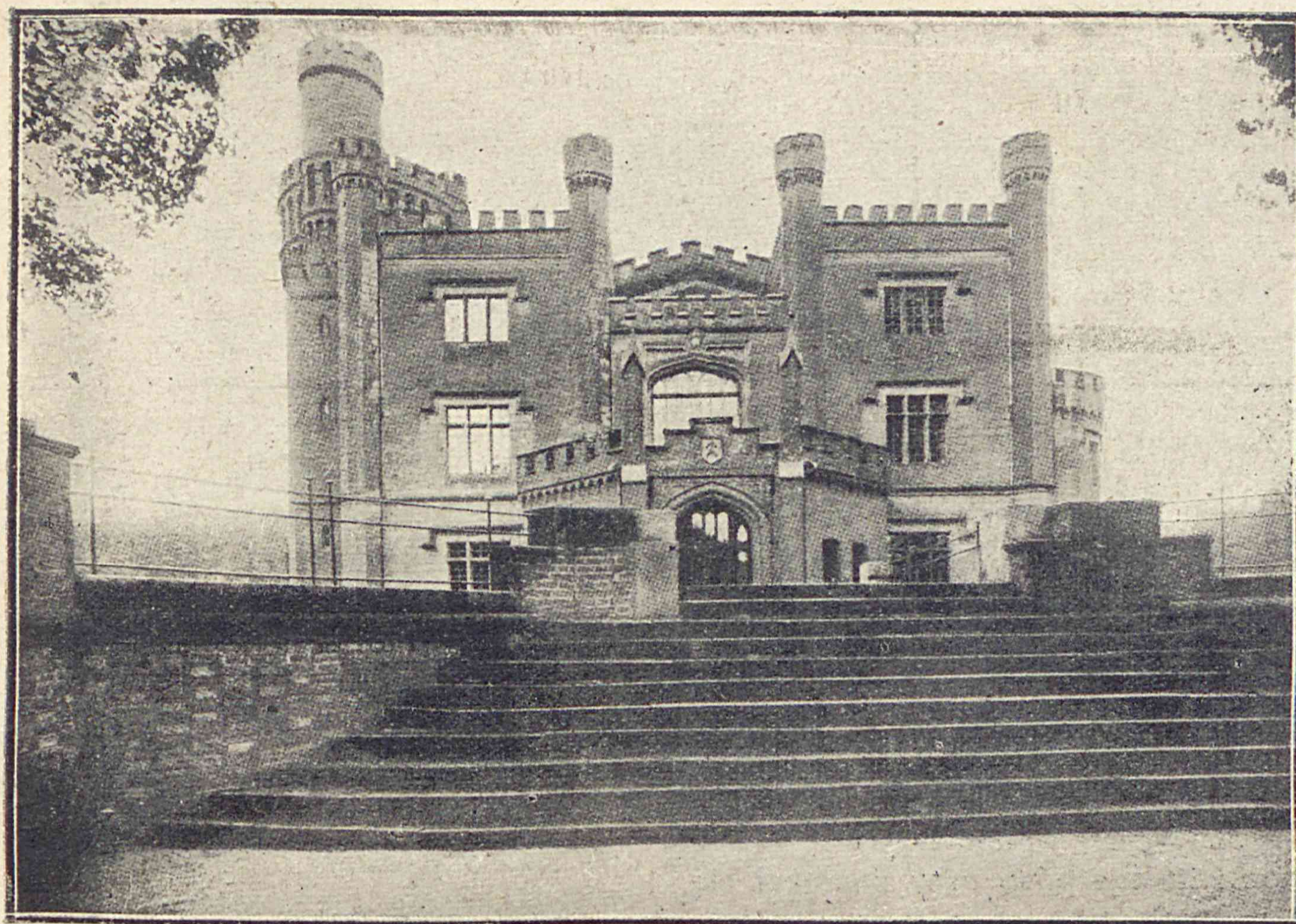


W dzielnicy Wembley pod Londynem otwarta zostanie międzynarodowa wystawa. Na czele organizacji tej wystawy stanęli znani przemysłowcy i działacze polityczni. (Siedzą od prawej strony) Charles Mc Leod, James Stevenson (prezes), pułk. A. H. Mc Mahon. (Stoją) W. H. Rains (sekretarz sekcji Manchesterskiej) M. H. Beckenhan (gen. sekretarz wystawy), Kap. James Allan. P. Machleod jest przewodniczącym indyjskiej izby przemysłowej w Londynie.

Zmiana na stanowisku Ministra Spraw Wewnętrznych.



Z. Hübner, prokurator Sądu Apelacyjnego w Warszawie, został mianowany ministrem spraw wewnętrznych. Z nominacją tą łączą się nadzieje uporządkowania i ujednostajnienia naszej administracji. Województwa wschodnie liczą przytem, iż energja nowego ministra wypleni plagę bandytyzmu, która szczególnie trapi powiaty nadgraniczne.



Kórnik. Widok zamku od strony północnej. Front główny.

Kórnik i Zakopane—Fundacją Narodową.

Naśladując zbożną działalność rodziców i w wykonaniu ostatniej woli przezacnej matki swojej, z Działyńskich hr. Zamoyskiej, Władysław hr. Zamoyski i jego siostra, hrabianka Marja, wszystko, co odziedziczyli po rodzicach oraz co nietylko pracą i inicjatywą osobistą, ale także wyjątkową oszczędnością i skrzętnością całego życia dorobili, legują teraz Polsce. A legat to wychodzący poza miarę przeciętności wszelkich fundacji narodowych, nietylko pod względem wielomiljardowej wartości, ale także pod względem obmyślenia celów i zadań fundacji, objętej „statutem zakładów Kórnickich". Opiera się ona na 19 poszczególnych dobrach i folwarkach w powiatach śremskim i środzkim, oraz w gminach Bukowina, Kościeliska, Brzegi i Zakopane w Tatrach. Majątki te i lasy obejmują razem około 15.000 hektarów przestrzeni, oprócz nieruchomości miejskich, składających się z pałacu hr. Działyńskich w Poznaniu, oraz z domów w Kórniku i w Zakopanem. Koroną tej fundacji jest stary zamek kórnicki, datujący z XV w., o którym Sarbiewski w r. 1565 już tak pisał:

„Zamek Kórnicki, mieszkanie Stanisława Górki, wojewody poznańskiego, jest murowany i równie wytworny, jak mogący wytrzymać napaść jakiegokolwiek nieprzyjaciela. Miejsca obok niego napełnione budynkami gospodarskiemi, stawami, zwierzyńcami i ptaszarniami".

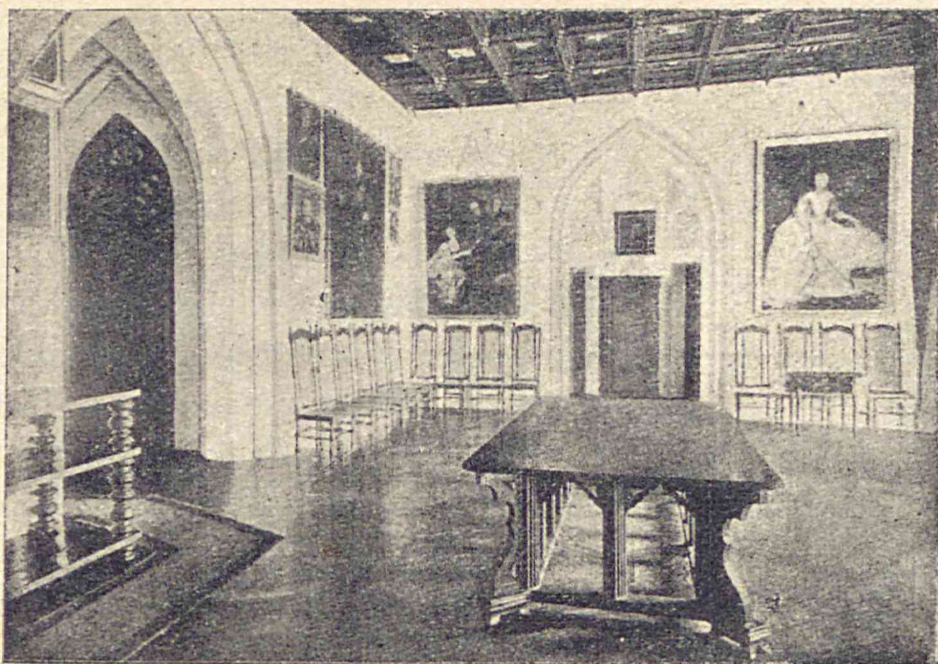
W zamku tym Stanisław Górka, ostatni swego rodu, przyjmował z wielką wystawą wjeżdżającego do



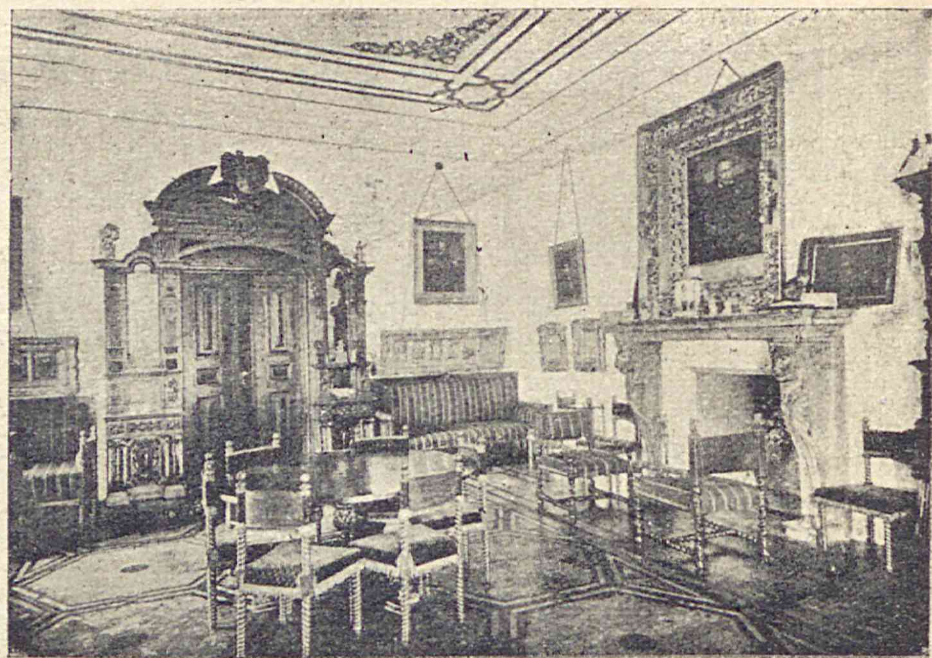
Hrabianka Marja Zamoyska.

Polski Henryka Walezjusza. Po wygaśnięciu rodu Górków siostra ostatniego ich potomka wniosła dobra kórnickie w dom swego małżonka Michała Działyńskiego, wojewodzica brzesko-kujawskiego, i odtąd pozostawały one w rodzinie Działyńskich, aż do jej wygaśnięcia w r. 1880. Po ruinie, jakiej Kórnik uległ w XVII w. podczas inwazji Szwedów i Brandeburczyków, dopiero w drugiej połowie XVIII w. ówczesna dziedziczka kórnicka, Teofila z Działyńskich I-o voto Szołdrska, II-o voto Potulicka, zamek przebudowała i przywróciła go do jeszcze okazalszej świetności. Po śmierci Feliksa Szołdrskiego w r. 1795 i podczas długotrwałego sporu między Szołdrskimi a Działyńskimi o posiadanie Kórnika zamek znów podupadł i był bliskim ruiny, wskutek niepokojów wojen napoleońskich. Nareszcie, kiedy Kórnik przyznano wojewodzie Ksaweremu Działyńskiemu, rezydującemu w Konarzewie, w Kórniku urządzono mieszkanie tymczasowe, gdzie przyszła na świat jego córka, późniejsza Klaudja hr. Potocka. Syn Ksawerego, Tytus hr. Działyński, mąż głęboko wykształcony i wielkich zasług około podniesienia kultury kraju, a sam wytworny znawca sztuki, podjął przebudowę gruntowną zamku, w duchu romantycznie pojętego średniowiecza. Jako zabytek architektury w dzisiejszej swojej postaci zamek kórnicki, na tle swego pięknego otoczenia, jest monumentem niezwykłego uroku. Mosty zwodzone, ugrupowanie baszt, zazębień zwieńczeń, balkony, wykusze i arkady nadają mu widok pełen romantycznego nastroju i uroku, w którym widać wpływ polskiej myśli i temperamentu wysoce artystycznego hr. Tytusa Działyńskiego.

„Wnętrze zamku odpowiada doskonale szacie zewnętrznej—pisze Kazimierz Ruciński, autor „Dworów i pałaców wielkopolskich".—Sklepione gotyckie korytarze i hale, wsparte na ośmiokątnych filarach, zaciszne komnaty i przestronne świetlice, z drewnianemi, w herby malowanemi, stropami, robią wrażenie jakiegoś zamarłego świata, do któ-



Kórnik. Sala jadalna, herbowa.



Kórnik. Sala kominkowa (z portretem hr. Tytusa Działyńskiego). Odrzwia i meble wykonane przez rzemieślników kórnickich.

rego żywi tylko przypadkowo się zabłąkają. Na białych ścianach rozwieszone portrety ze zdziwieniem witają przybysza. Gdzieś z odległych komnat wraca do niego echo jego własnych kroków".

Wystrój sal górnych zestawiono z motywów stylu maurytańskiego i umieszczono w nich muzeum, posiadające, obok cennej kolekcji broni, meble i sprzęty z dawniejszych czasów, a zwłaszcza stoły, krzesła, szafy, obramienia podwoi, wykonane przez siły miejscowe, pod kierunkiem hr. Tytusa, który dążył do wytworzenia rodzimego przemysłu ludowego.

W jednym z budynków poza parkiem w pobliżu zamku mieści się wspaniała i słynna na całą Polskę bibljoteka kórnicka, przewieziona tutaj przez hr. Tytusa Działyńskiego z Konarzewa. Kontynuując dzieło swego ojca, Jan hr. Działyński wykończył zakłady parkowe, obejmujące 100 morgów, oraz zasłużył się dalszemi wydawnictwami kórnickiemi, a wśród nich wiekopomnym „Kodeksem dyplomatycznym Wielkopolski".

Po wygaśnięciu rodu hr. Działyńskich w r. 1880, dobra kórnickie odziedziczył Władysław hr. Zamoyski, który, przechowawszy i znakomicie pomnożywszy to dziedzictwo, teraz przekazuje je w całości narodowi. W liście wystosowanym w tym celu do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, z prośbą o przyjęcie imieniem kraju daru fundacyjnego, pp. Władysław i Marja Zamoyscy piszą:

„Dla zaznaczenia stosunku zakładów kórnickich do Kościoła i Ojczyzny, pragnęliśmy gorąco, ażeby patronat nad zakładami kórnickiemi przyjąć raczyli Prezydent Rzeczypospolitej i Prymas, do których, jak i do ich następców, pełni wiary i nadziei zwracamy się z prośbą serdeczną, by łaskawie raczyli opieką otoczyć dzieło powstałe z gorącego umiłowania Ojczyzny i z pragnienia, by te warsztaty pracy nie przestały, za Bożą pomocą, przy udziale synów wszystkich ziem polskich w najdalsze czasy polskiej służyć sprawie". Kuratorów zaś i członków przyszłego zarządu, oraz kierowników zakładów ofiarodawcy proszą, „aby strzedz raczyli zakłady Kórnickie przed każdym, którego by nie polecały jego dzielność, roztropność, nieskalane ręce, przedewszystkiem coby i najlżejszą krajowi ujmę przynieść mogło".

Projekt statutu zastrzega, że majątki kórnickie i zakopiańskie ani podzielone, ani obciążane długami być nie mogą.

W słowach powyżej przytoczonych mieści się już ideologja obojga donatarjuszów. Fundacja ma przedewszystkiem na widoku: utrzymanie zakładów gospodarstwa wiejskiego dla kobiet w Kuźnicach, założonych przez ś. p. jenerałową Za-

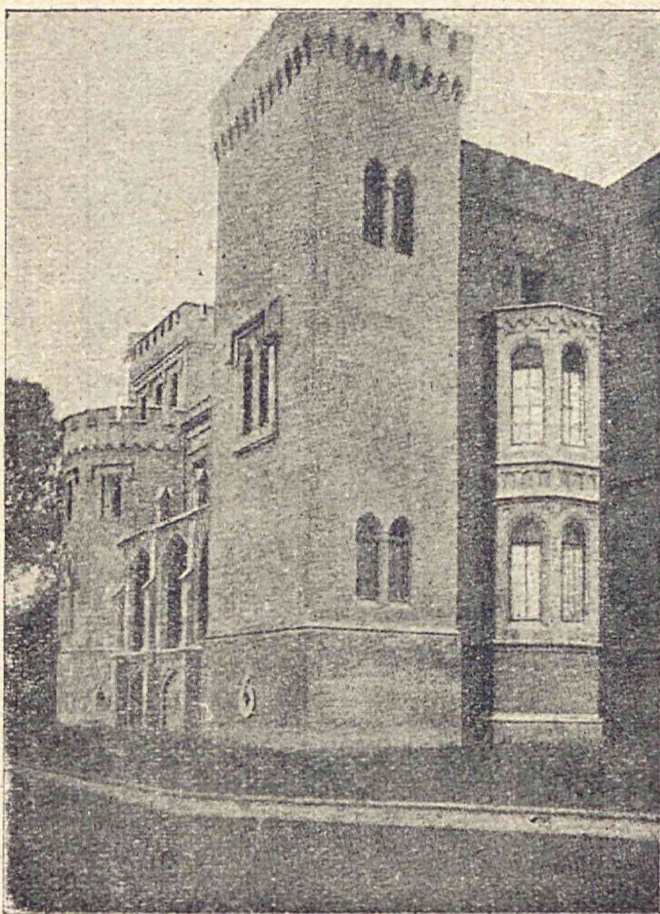


Szkoła domowej pracy kobiet w Kuźnicach. Strona południowa — główne wejście.



Szkoła domowej pracy kobiet w Kuźnicach. Strona północno-zachodnia.

moyską, a prowadzonych przez długie lata przez jej córkę, Marję; założenie i utrzymanie instytutu badania drzew w Polsce; utrzymanie pałacu i ogrodów w Kórniku, jako muzeum, przechowującego po wieczne czasy pamięć o najdzielniejszych synach Polski, o cierpieniach i walkach Polaków o wolność oraz zasług wszystkich cudzoziemców, którzy dochowali przyjaźni Polsce, lub przychodzili jej z pomocą; krzewienie w praktyce zasad spółdzielczości wśród włościan; pomoc materjalną dla młodzieży, pracującej na polu naukowem; prowadzenie bibljoteki i publikacji jej wydawnictw w Kórniku; wreszcie podnoszenie pod względem kultury rolnej i uprzemysłowienia majątków, stanowiących fundację. Władza nad nią spoczywać będzie w ręku kuratorjum, złożonego z przedstawicieli naszych naczelnych władz i instytucji oświatowo-kulturalnych.



Kórnik. Zamek od strony zachodniej.

Tak pokrótce streszczony obraz przyszłej działalności fundacji kórnickiej daje przybliżone tylko pojęcie o jej wielkiej użyteczności i doniosłości dla przyszłych pokoleń narodowych.

Władysław hr. Zamoyski i siostra jego Marja ofiarowaniem dziedzictwa po ojcach oraz owoców swej niebywale oszczędnej, skromnej i cichej pracy całego życia złożyli nietylko dowód niezwykłości charakterów, ale także najpiękniejszy i najszlachetniejszy przykład, jak dziedzice nazwisk rodowych polskich służyć i zasługiwać się krajowi powinni.

Z. J. N.

Targ na dziewczęta w Chinach.

W prowincji Tonkin, w okolicy miasta Pha-Long, co rok odbywa się targ na dziewczęta. Na targu młodzież kupuje sobie żony. Na dzień ten oczekują niecierpliwie kandydaci i kandydatki do stanu małżeńskiego.



Uroczystość szkolna polska w Aleksandrowsku zgromadziła gości japońskich i członków Polonji. (1. Generał S. Takasu, 2. Wł. Sielski).

POLSKA WYSEPKA NA DALEKIM WSCHODZIE.

Długie lata niewoli, srogie prześladowania ze strony carskiego rządu, trudności czynione polakom przy znajdowaniu w kraju terenów pracy, złożyły się na to, że liczna rzesza naszych rodaków rozproszyła się daleko po szerokim świecie, że zdala od ojczyzny rosły i żyły całe pokolenia. Ale wszyscy ci wygnańcy i emigranci nie zatracali nigdy kontaktu z krajem rodzinnym, dbali pilnie o zachowanie wiary, mowy i obyczaju ojców. To też wszelkie zakusy rusyfikacyjne carskiego rządu nie doprowadzały do celu; grupy polskie, tu czy owdzie rzucone losem wpośród obcych, trwały niezłomnie przy swej narodowości.

Kiedy zaś carat runął w gruzy, kiedy warunki tu i owdzie ułożyły się pomyślniej, życie polskie rozwinęło się i spotęgowało, uderzyło wzmocnionem tętnem. Gdzie tylko nastręczała się potemu możliwość, powstawały polskie instytucje oświatowe, czytelnie, szkoły, stowarzyszenia; kontakt z ojczyzną stawał się coraz silniejszy.

W porcie Aleksandrowsku, położonym na północnem wybrzeżu Sachalinu, istnieje już od dawna dość liczna polska kolonja, grupująca się przy miejscowym polskim kościele. Pod rządami Rosji nie mogła ona rozwinąć się w całej pełni, bo nawet tutaj piętrzono trudności na każdym kroku, utrudniano wszelkie poczynania narodowej pracy. Dopiero gdy kraj przeszedł pod władzę Japonji, stosunki uległy całkowitej odmianie na lepsze, polacy tutejsi zdobyli możność pełnego, niczem nie skrępowanego narodowego życia. Władze japońskie okazywały zawsze polakom jak największą życzliwość, czyniły polskim poczynaniom wszelkie ułatwienia.

Dzięki temu życie kolonji polskiej w Aleksandrowsku rozkwita coraz bujniej. Jednym z niezmożonych organizatorów jest tutaj p. Władysław Sielski, nie szczędzący trudów, by rozwijać polską propagandę i polskie życie społeczne. Wspomagany dzielnie przez innych zamieszkujących tu rodaków, wraz z nimi pracuje nad odrodzeniem kolonji polskiej na Sachalinie, która też istotnie wielkiemi krokami dąży do wyrównania tego, co przez długie lata moskiewskiej niewoli zostało zapuszczone i chwastami dziczyzny obyczajów porośnięte.

W mieszkaniu p. Sielskiego została urządzona czytelnia i bibljoteka, jego staraniem również powstała pierwsza polska szkoła na Sachalinie, której celem jest uchronić najmłodszą generację przed wynarodowieniem, zapewnić jej naukę w ojczystem słowie podawaną. Szkoła rozwija się bardzo pomyślnie, młodzi uczniowie przykładają się dzielnie do pracy i osiągają piękne wyniki. Czytelnia i bibljoteka prosperują również z wielkim pożytkiem i powodzeniem.

W ostatnim czasie odbyła się w polskiej szkole piękna uroczystość egzaminów uczniów i tradycyjnej choinki. W uroczystości wziął również udział generał japoński S. Takasu, najwyższy naczelnik wojenno-administracyjnego zarządu na północnym Sachalinie, jeden ze znanych uczestników wojny rosyjsko-japońskiej i wielki przyjaciel polaków, manifestujący tę życzliwość dla nas przy każdej nadarzającej się sposobności.

Egzamin uczniów szkoły dowiódł dużego ich postępu w naukach i dał świadectwo ogromnej użyteczności szkoły celem narodowego wychowania młodzieży. Po egzaminie odbyła się zabawa dziecięca, której generał japoński i jego świta przyglądali się z wielkiem zainteresowaniem. Uroczystość pozostawiła wszystkim uczestnikom nader miłe wspomnienia.

Aleksandrowsk w lutym. **M.**



Wesołej zabawie polskich dzieci w Aleksandrowsku patronował najwyższy dostojnik japoński na Północnym Sachalinie.

Artur Schnitzler.

Na Parnasie wiedeńskim pierwsze zajmuje miejsce. Ale Parnas wiedeński — to nie żadna niebotyczna góra... Ktokolwiek miał sposobność zapoznać się z przecudną okolicą Wiednia, z pewnością nigdy nie zapomni uroczego krajobrazu, którym zachwycał się, jadąc Dunajem z Wiednia do Melk. Po obu stronach białej, szerokiej wstęgi wodnej rozpościera się kraina dziwnie powabna i nadobna, która miejscami przybiera charakter romantyczny. Zielone błonia i wdzięczne pagórki ustępują od czasu do czasu miejsca jakimś dzikim urwiskom skalnym, stylowym a nie strasznym, budzącym wrażenie, jakoby natura, tworząc je, chciała tylko zaznaczyć, że są — gdzieś, daleko, może na drugim końcu świata — niebotyczne góry i niedostępne skały i grozą przejmujące urwiska. Brak tej krainie majestatu, brak jej motywów wspaniałych i imponujących, ale natomiast nęci ona ku sobie jakimś ujmującym czarem, jak gdyby przyroda wszystkie swe melodje wyśpiewała tu *w takcie trzyćwierciowym*. To Wachau. To perła Austrji Dolnej, której rok rocznie w miesiącach letnich tłumy wiedeńczyków w niedzielę zwykły składać wizytę. Przypuszczam, że tam między owemi pagórkami wznosi się także Parnas wiedeński,..

Więc nie jest to góra niebotyczna. A chociaż nieraz z północy lub z zachodu ostry po niej wicher przeleci, to nigdy nie pozbawi jej całkiem uroku wiośnianego, bo częściej dochodzą tu powiewy z południa, niosąc z sobą pozdrowienie z krajów, w których winne grona bujniejsze, niż tutaj, czerwone róże czerwieńsze, a białe bielsze. Z krajów, w których szybciej krew krąży w żyłach ludzkich, a namiętności prędzej się burzą, raźniej grają i rychlej giną.

Tu pogranicze. Tu kres północnym mgłom niemieckim i beznadziejnej melancholji lasów dębowych — tu kres południa czarodziejskim barwom i boskiej lekkomyślności krzewów oliwnych. Tu rodzą się *lekkomyślni melancholicy* (Anatol), tu dojrzewa sztuka, która śmieje się przez łzy, a gorzkie łzy wylewa przy skocznych dźwiękach walca. Bo muzyka gra, gra zawsze. Powołuję się na świadectwo filozofa-kuplecisty: Und die Musik spielt...

Artur Schnitzler jest poetą nawskroś wiedeńskim. Więc przedstawicielem sztuki, co jako ta ziemia, z której wykwita, jako to miasto, w którem dojrzała, jako to powietrze, którem oddycha, z północy i z południa czerpie swe zasoby, melancholją północy i lekkomyślnością południa krasząc swe lica. I jest w tej sztuce spora dawka wschodniej zadumy, i szczypta zachodniego cynizmu, i przymieszka dziwnie miękkiej, a jednak nie rozpłakanej uczuciowości. Więc brak jej majestatu, brak jej motywów wspaniałych i imponujących, ale nęci ona ku sobie jakimś ujmującym czarem, nęci przedewszystkiem



Artur Schnitzler.

swym taktem trzyćwierciowym. Tu czuły słuchacz zawsze tyle w duszy może dośpiewać, że nie dziw, jeśli nie brak nigdy słuchaczy temu poecie. Smutny się zasmuci, wesoły rozweseli, zadumany jeszcze głębiej pogrąży w zadumę, a pierwszy i drugi i trzeci— wszyscy odniosą wrażenie, że to dla nich właśnie poeta nie dośpiewał swej pieśni.

Ale krzywdzę go; wszak są i dośpiewane. Czy znacie renesansową tragedję owej dziewki, „która igra ze śmiercią, jak z życiem" („Der Schleier der Beatrice"), lub historję bohaterskiego młodzieńca, który chciał być bohaterem a stał się — kochankiem („Der junge Medardus")? Te dwa dramaty wymownie świadczą o tem, że Schnitzler jest wielkim poetą i że byłby nim także — poza Wiedniem. Chociaż coprawda, także i te dzieła są nawskroś wiedeńskie. Wszak Bolonii księżna jednej nocy wielu rysami swego charakteru przypomina „słodkie dziewczę" („süsses Mädel") wiedeńskiego przedmieścia, a główny urok dramatycznej historji „Młody Medard" właśnie na tem polega, że poucza nas poeta, jak mały wiedeńczyk wyobraża sobie wielkiego Napoleona.

Schnitzler wzbogacił literaturę niemiecką typem, który przez długie lata pokutował w powieściach, nowelach, dramatach, komedjach i fejletonach wiedeńskich. Typem, nad którym rozpisywała się krytyka i rozczulały się piękne, strojne panie „z towarzystwa", lubo patrzyły nań z wściekłością. Oczywiście mówię tu o sławnem „süsses Mädel" wiedeńskiego przedmieścia. A to słodkie dziewczę— tak opowiada drugi typ, wprowadzony przez Schnitzlera do literatury, mianowicie młody człowiek z dobrego domu, nie posiadający stałego zajęcia i poświęcający całe swe życie miłości, miłostkom, pojedynkom i lekkiej filozofji praktyczno-życiowej — nie jest bynajmniej olśniewająco piękne, ani nie jest eleganckie. ani zbyt sprytne, ale posiada miękkie wdzięki wiośnianego wieczoru, i urok zaczarowanej księżniczki, i duszę dziewczyny, która umie kochać... To śliczne — prawda? Tylko w tem sęk, że ten nowy świat powojenny, który wiecznie goni za zarobkiem i tyle ma trosk moralnych i etycznych i materjalnych i politycznych, przed tylu dzień w dzień nowemi staje zagadnieniami, nie ma już najmniejszego zrozumienia dla słodkiego dziewczęcia. Co się z niem stało? Opowiada znany francuski publicysta Marcel Dunan, autor uwieńczonego przez francuską akademję dzieła o Austrji powojennej, że sam Schnitzler na jego pytanie, gdzie się podziały słodkie dziewczęta, odpowiedział: „Jedne powymierały z głodu, inne noszą teraz jedwabne pończochy..."

Nie wolno z tego jednak wyciągać wniosku, jakoby Schnitzler był przedstawicielem literatury, która umarła... Z wieku, podobnie jak sławny „odkrywca talentów" Herman Bahr, który niegdyś był przywódcą „młodego Wiednia" literackiego („Jung-Wien"), liczy się już wprawdzie do starszej generacji, ale bynajmniej nie przestaje składać dowodów, że umie z żywymi naprzód iść. A ilekroć w swych utworach

po nowe sięga życie, to jeszcze zawsze lepiej mu się to udaje, niż niejednemu z młodych i najmłodszych, którzy teraz się trudzą i mozolą o nową myśl i nową formę. Stawia sobie coraz trudniejsze zadania i coraz szersze zakreśla koło swym zagadnieniom psychologicznym i artystycznym. Słowem: nie stanął, nie przestał się rozwijać, jest jeszcze młodym mimo swych sześćdziesięciu lat. Przetrwał niejedną z postaci, które stworzył, ale tworzy coraz nowe, które jego przetrwają. A wszak sam powiedział (w księdze aforyzmów o sztuce i krytyce, która niebawem ma się pojawić), że nie problem toruje dziełu poety drogę do przyszłości, lecz postacie stworzone przez poetę i atmosfera, jaką je otoczył.

Dr. Edward Goldscheider.

Wiedeń.

Kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych wśród cow-boy'ow.



p. William Mac Adoo, kandydat demokratów na prezydenta Stanów Zjednoczonych objeżdża obecnie w celach agitacyjnych poszczególne stany Ameryki Północnej. Zawitał w okolice Los Angelos, gdzie był obecny na konkursie jazdy, urządzonej dla cow-boy'ow. Ukazanie się jego na konkursie powitane było oklaskami. Po konkursie wręczył Mac Adoo nagrodę przechodnią im. Roosevelta p. Y. Canut, zwycięzcy w popisach hippicznych.

Jak się stroją kobiety w Liberji afrykańskiej!





Wśród kobiet Liberji do największej elegancji należy ozdoba oczu. Piękne liberyjki używają do tego okularów. Najszykowniejszą jednak jest ta pani, która może poszczycić się używaniem monokla.

Teatr Rozmaitości:
„Romantyczna panna", komedja w 3-ch aktach Martinez-Sierra.

Fot. St. Malarski.



Wykonawcy ról głównych: Pp. Leszczyńska, Pawłowska i Junosza-Stępowski.



Honorata Leszczyńska, znakomita art. dramatyczna, na przedstawieniu jubileuszowem kreowała z wielkiem powodzeniem rolę romantycznej babci.

TEATRY WARSZAWSKIE.

Teatr Rozmaitości: *„Panna romantyczna", komedja Martinez-Sierra.*

Teatr Komedja: *„Proces rozwodowy", komedja Garrick'a.*

Sztuka p. Martinez-Sierra jest miłą, sielankowo-poetyczną komedją, wyróżniającą się korzystnie z powodzi importowanych sztuk prostotą teatralnego rysunku i bezpretensjonalnością efektu scenicznego. W utworze hiszpańskiego autora banalność konwencji scenicznej doprowadzona jest niemal do ideału. Wszystko w niej jest wiadome zgóry. I to, że pojawiający się w nocy w pokoju Rosario — w pogoni za kapeluszem, zerwanym przez wiatr — rzekomy p. Gomez jest naprawdę znakomitym literatem de Cordoba,— i to, że p. de Cordoba jest przedmiotem uwielbienia pięknej dziewczyny — i to, że z tego przypadkowego spotkania wyniknie miłość, małżeństwo i zakończenie.

A chociaż znamy niemal od pierwszej sceny wszystkie perypetje sztuki, słuchamy jej z niesłabnącem zainteresowaniem, jak miłej gawędy romantycznej, powtarzanej wielokrotnie. A dzieje się tak dlatego, bo „Panna romantyczna" jest dobrym i rzetelnym teatrem; ludzie w niej są żywi, sytuacje prawdziwe i prawie zawsze zlekka groteskowe.

W doskonale zgranym zespole królowała znakomita Jubilatka, p. Honorata Leszczyńska, jako sędziwa babka, Donna Barberita. Młode pokolenie aktorek, mając tak świetny wzór, uczyć się powinno czystości djalogu i wyrazistości gestu. Romantyczną dziewczyną,—była p. Majdrowicz. P. Junosza-Stępowski, jeden z najmilszych Don Juanów, z werwą i humorem zagrał rolę literata de Cordoba.

Wystawiony w teatrze Komedja „Proces rozwodowy" Garrick'a, autora „Kobiety, która zabiła", bierze za punkt wyjścia nie morderstwo dręczonej kobiety, lecz rozwód; zagadnienie erotyczno-społeczne, zanalizowane i przeprowadzone bardzo umiejętnie. Żona znakomitego adwokata, specjalisty w sprawach rozwodowych, zaniedbywana przez męża, zajętego kancelarją, inscenizuje własny proces rozwodowy, aby już jako klijentka ponownie zdobyć sobie jego miłość. Intryga sprytna i z wielkiem poczuciem teatralnego efektu przeprowadzona. Zwłaszcza akt drugi, będący odwróceniem sytuacji aktu pierwszego, jest z punktu widzenia techniki scenicznej bardzo pomysłowy.

Świetnie zagrała rozwiedzioną żonę adwokata Barrena p. Przybyłko-Potocka. Interesujący epizod pomocnika adwokackiego stworzył p. Warnecki. *Emil Breiter.*

Życie sportowe: Chód naokoło Warszawy 23 marca r. b., dystans 13 klm.



Po ruszeniu od startu.



Zwycięzcy: 1) Szelestowski, Polonja (1 godz, 8 m.) 2) Busiakiewicz, 3) Zadrzyc.

Fot. Wacław Rokosz.

PROCES ROZWODOWY.

Chodzą jeszcze wśród ludu, a zwłaszcza wśród „inteligencji", opowieści, jak to za dawnych lat rozwody były czemś strasznem, horrendalnem... W tych zamierzchłych czasach rozwódka, bez względu na przyczyny, dla jakich rozstała się z mężem, uchodziła za osobę bezprzykładną, dawne przyjaciółki nie kłaniały się jej na ulicy, rodzina wyrzekła się „rozwódki", a dobra babunia przeklinała ją do siódmego pokolenia włącznie... Tak zwany rozwodnik, najniewinniej nawet rozwiedziony, był również politowania godzien. Cieszył się wprawdzie współczuciem i litością wszystkich znajomych, mówiono o nim, że jest nieszczęśliwą ofiarą — ale nikt z życzliwych, a zwłaszcza życzliwych rodzaju żeńskiego nie chciał mu dawać tych dowodów współczucia, które jedynie świadczą o prawdziwej dobroci serca. Jednem słowem — był postrachem kobiet.

Nadeszły czasy tolerancji. Zaczęto wybaczać rozwody kobietom, o ile miały coś „poważnego" na usprawiedliwienie tego decydującego kroku. Więc wolno było rozwieść się kobiecie, którą mąż zdradzał we łasnym domu „Ten nikczemnik nie uszanował ogniska domowego! i święta by się rozwiodła". Wolno też było mężczyźnie pójść do rozwodu, o ile jego żona się gdzieś zapomniała... Ale w tych czasach rozwód uchodził za głębszy dramat życiowy, za prawdziwe „przejście". I wiele żon wolało wybaczyć nieuszanowanie ogniska domowego, i wielu mężczyzn starało się zapomnieć o zapomnieniu żony, miast wypominać przed sądem.

A potem nadeszła era ostatniej premjery Garricka. Kobiety zaczęły się rozwodzić, bo mężowie zaniedbują obowiązki małżeńskie, bo się spóźniają na obiad, bo za wiele czasu poświęcają sprawom zawodowym. Jest to epoka „rozwodów z miłości". Komedja „Proces rozwodowy" (w której nawiasem mówiąc czarowała pani Przybyłko-Potocka, jako rozwiedziona a zakochana żona) przeszła już do historji. Kobiety, które rozwodzą się dla jakiejkolwiek i czyjejkolwiek miłości, przestały być sensacją.

I rozwód przestał być sensacją. Najskromniejsze kobiety rozwodzą się obecnie raz na trzy, cztery lata.

Przyczyny, dla których obecnie się rozwodzą, są nader urozmaicone.

Było małżeństwo ogromnie miłe i szczęśliwe, które się rozwiodło dla „podtrzymania rozmowy". Małżeństwo to było przez szereg lat bardzo z siebie zadowolone, ale jak się to zdarza nietylko wśród małżeństw, wyczerpał się temat rozmowy. Nuda zapanowała. — Żona była zdenerwowana, mąż chodził jak struty. Pojechała żona na kurację, pojechała zupełnie sama, a wróciła!... nie, nie wróciła z kochankiem, tylko z tematem „rozwiedziemy się". Mąż bardzo temat ten podtrzymywał. Znalazł się oficjalny narzeczony, także dla podtrzymania rozmowy. Nastąpił rozwód. Po rozwodzie drugie małżeństwo. Z drugim mężem rozmowa się wogóle nie zaczęła. To nie było to. Wogóle się nie podobał. Żona wróciła do pierwszego męża. Nie brak im tematu. Układają plan rozwodu z drugim. Zastanawiają się, dyskutują. Życie upływa im wśród nieustannej rozmowy.

Było inne małżeństwo, które się rozwiodło, bo żona chciała przeżyć coś bardzo pikantnego z własnym mężem. Po rozwodzie wyjechali jako narzeczeni w podróż przedślubną. On jej kupił piękny szmaragd. Fotografował się z nią razem i gołąbkami na placu św. Marka w Wenecji. Są bardzo szczęśliwi.

Było jeszcze inne małżeństwo. Rozwiedli się na jej specjalne życzenie. Skarżyła się na brak zajęcia. „Nic nie robię całemi dniami, nie umiem pracować zawodowo, nie lubię też zajmować się plotkami, ani dobroczynnością. Będę się rozwodzić".

Zresztą, przyczyn rozwodowych są setki: bo się znudzili, bo zmienili gust i rozkład mieszkania, bo wiosna, bo polityka, bo ktoś gdzieś na coś otworzył oczy, bo ona chce wstąpić do kina, bo on chce się przekonać, czy druga żona ma te same właściwości, co pierwsza. Jeden pan się rozwodził, bo mu się przestał podobać profil żony, inna pani biegła po rozwód, bo mąż nie wykupił nowej emisji Modrzejowa. Jednym poszło o płyty na „parlofonie", który dostali od teściowej na rocznicę ślubu. Ona chciała, by jej grało cały dzień do tańca, a on był za płytami z Gruszczyńskim (tutaj zawiniła teściowa).

Ale, jak mogłoby powiedzieć przysłowie: nie sądź ludzi po rozwodzie.

W czasach powojennych, jak to już niejednokrotnie i na niejednym zjeździe zauważono, nastąpiła wielka korupcja i zepsucie obyczajów. Ta korupcja wyraża się przez tak zwany pęd małżeński. Czasem mężczyzna bardzo późno decyduje się na pierwsze małżeństwo, ale raz rozwiedziony, z dziką pasją i szalonym pośpiechem żeni po raz drugi. Kobiety także nie chcą odpoczywać po rozwodzie i zaraz wychodzą za mąż. Nawet podobno lepiej.

Życie towarzyskie wskutek ciągłych rozwodów, nowych małżeństw, jeszcze nowszych rozwodów, stało się bardzo trudne.

Towarzystwo, które spotkało się u państwa X w karnawale roku tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego, może w tym samym składzie spotkać się w roku następnym, a pani Y już będzie żoną pana Z, pan N mężem pani Z, pani T, narzeczoną pana Y... Małżeństwa przetasowane. Wszelkie pomyłki, gaffy, zapytania o zdrowie pana mecenasa, pani już dyrektorowej, albo komplementy „żona pańska jest najmilszą kobietą, nie znam tak miłej osoby, jak pani Zosia", są często przykre, gdy najmilszą żoną nie jest już Zosia ale Nina, która doprawdy nie jest najmilszą. Albo takie powiedzenie; „Więc ta niemądra Hela ciągle żyje z swoim idjotą mężem?"—„Nie, jej mąż (idjota) jest już moim mężem". Takie i temu podobne rozmówki ogromnie wpływają na podniesienie humoru i życia towarzyskiego... Kobiety nie obgadują mężczyzn, ani mężczyźni kobiet, bo nigdy nie wiadomo, komu z kim wypadnie ożenić się w następnym sezonie.

Dla niektórych rozwód jest świętem, dla innych już chlebem powszednim.

Tyle mojego szczęścia, ilem się narozwodził — mówił jeden.

I to jest punkt widzenia.

H. Jel.

Jubileusz w teatrze grudziądzkim.



P. Zofja Hartmanowa na scenie teatru grudziądzkiego, dn. 19 marca r. b., obchodziła uroczystość 30-lecia pracy artystycznej, kreując w „Grubych Rybach" rolę Babuni.

POPIS CHOREOGRAFICZNY W TEATRZE POLSKIM.





P. Halina Hulanicka, której występ w teatrze Polskim w Warszawie dn. 23 marca r. b. wzbudził uznanie krytyki i gorące oklaski publiczności. Fot. Leo Forbert.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SEJM I SENAT.

Sejm odroczył narady do dn. 2-go kwietnia. W tym terminie wejdzie też na porządek dzienny wniosek nagły o postawienie b. ministra Kucharskiego w stan oskarżenia.

Nad dostępem Polski do morza obradował Sejm i stwierdziwszy,że z postanowień traktatowych nic dotąd nie mamy, wezwał rząd, by wytoczył całokształt sprawy na forum międzynarodowe.

Pracę kobiet i dzieci unormował Sejm w duchu postępowym i europejskim. Jako referentka sprawy zadebiutowała posłanka Ładzina wśród oklasków całej Izby.

Walka o drożyznę toczy się w Sejmie między lewicą a prawicą, która domaga się wolnego wywozu produktów rolnych i podwyższenia cen. Nie ułatwia to sanacji finansów.

Ustawę o ochronie lokatorów zatwierdził Senat zgodnie w zasadniczych punktach z tekstem sejmowym. Dokonane poprawki ulepszyły i rozjaśniły ustawę. Tym razem stanął Senat na wysokości zadania.

Nad rozbudową miast radzili działacze komunalni w ministerstwie skarbu. Samopomoc i wyzyskanie podatku od lokali jedyną drogą ratunku.

RZĄD POLSKI.

Minister spraw wewnętrznych Wł. Sołtan ustąpił ze stanowiska w następstwie ciężkich zarzutów, jakiemi obciążyła go komisja sejmowa, bez względu na partyjność.

Nowym ministrem spraw wewnętrznych zamianował Prezydent Rzeczypospolitej p. Zygmunta Hübnera, prokuratora Sądu apelacyjnego w Warszawie.

Reorganizację administracji armji polskiej przeprowadza energicznie minister Sikorski, uważając jej stan obecny za bardzo wadliwy. Hasłem musi być: wszystko dla linji.

SPRAWY POLSKIE.

Ksiądz arcybiskup Cieplak powraca nareszcie do Polski. Rząd sowiecki zgodził się już na wydanie zasłużonego kapłana, chorującego ciężko w moskiewskiem więzieniu.

Zjazd sowietów białoruskich w Mińsku miał wybitnie antypolski charakter. Jedynie przedstawiciel rządu Kalinin mówił o Polsce bardzo życzliwie, wskazując możność owocnej współpracy gospodarczej i kulturalnej obu narodów.

W obronie szkolnictwa dla polskich mniejszości narodowych wystąpił w Sejmie pruskim poseł Baczewski i domagał się przestrzegania zasad konstytucji także w stosunku do polskiej ludności.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Co do rozwiązania zagadnienia odszkodowań niemieckich osiągnęła komisja rzeczoznawców zupełne porozumienie. Przed ogłoszeniem wyników odbędą się jeszcze narady francusko-angielskie.

Nową intrygę zainscenizowały Niemcy, ogłaszając tekst rzekomego tajnego układu francusko-czechosłowackiego, dotyczącego także spraw Polski. Rząd francuski oficjalnie zaprzeczył tym wiadomościom.

Projekty finansowe rządu francuskiego zostały w całości przyjęte przez parlament; w związku jednak ze sprawą emerytur parlament odmówił poparcia wnioskom ministra Skarbu i p. Poincaré zmuszony był podać się do dymisji.

Niemcy zmaterjalizowały się ponad potrzebę. Za wiele mówią o wełnie, nafcie i węglu, a zapominają o ideałach. Tak scharakteryzował swych rodaków Stresemann podczas oficjalnego przyjęcia w Wiedniu.

O niebezpiecznej chorobie papieża rozszerzano w ubiegłym tygodniu pogłoski, które jednak okazały się bezpodstawne.

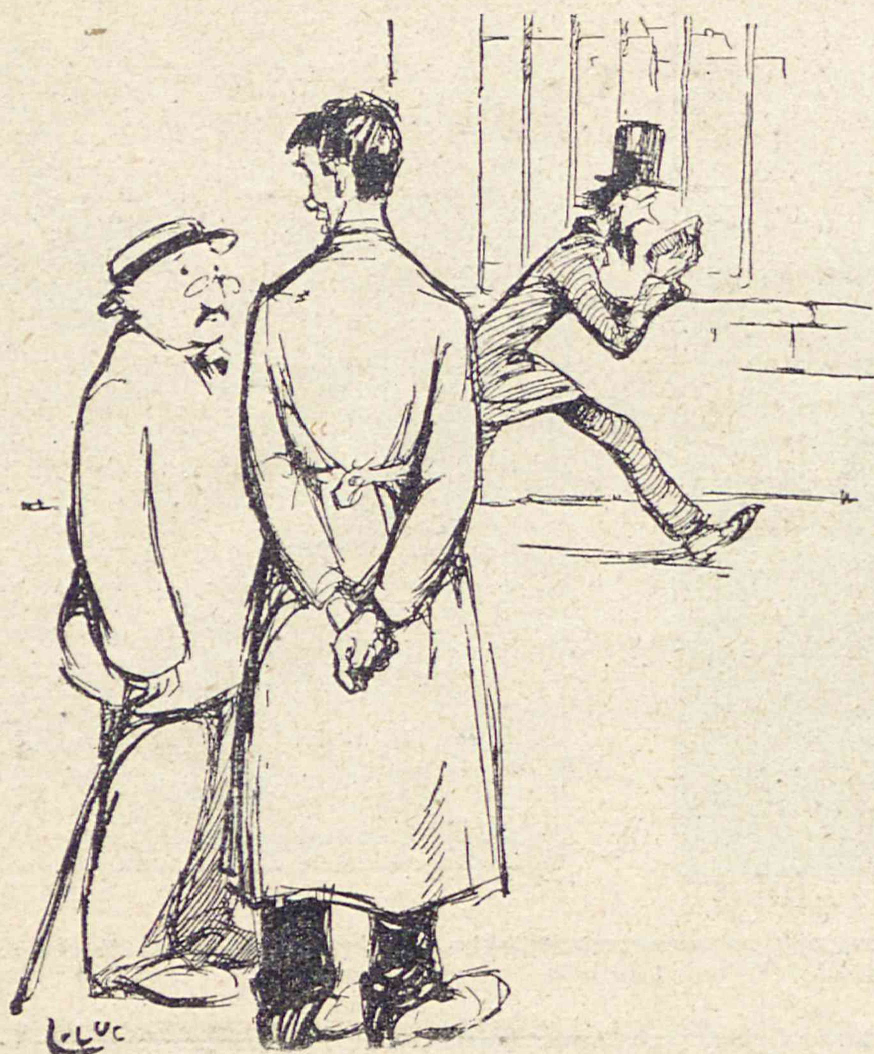
Konflikt rosyjsko-chiński wynikł na tle wydalenia posła sowieckiego Karachana z Pekinu za obrazę rządu chińskiego w wysyłanych notach. Sytuacja naprężona.

RÓŻNE.

Proces o inwigilowanie marszałka Piłsudskiego został odroczony celem uzupełnienia śledztwa. Zeznania marszałka sprawiły ogromne wrażenie, zwłaszcza gdy mówił o zamordowaniu prezydenta Narutowicza i moralnych tego sprawcach.

Serję wykładów literatury polskiej w Sorbonie rozpoczął prof. Tadeusz Grabowski. W inauguracji wzięli licznie udział przedstawiciele intelektualnego świata Francji i Polski.

Uroczystości lotnicze odbyły się w Warszawie celem spopularyzowania lotnictwa jako środka obrony kraju w najszerszych warstwach społeczeństwa.



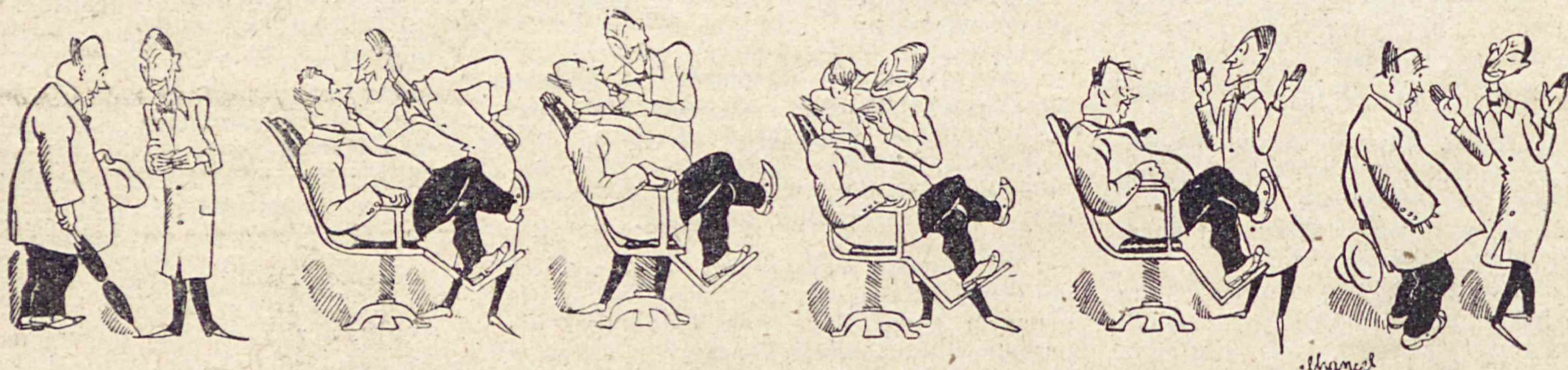
W SZPITALU WARJATÓW.

— A ten, który tak biega, pewno furjat?
— Nie, to dyrektor zakładu. („Le Rire").



FILOZOFKA.

— Kobieta, gdy się ubiera, powinna zawsze o tem myśleć, że może będzie musiała się rozebrać... („Le Rire").



— Panie dentysto! może pan zbadać moje zęby...

— Pańskie uzębienie jest bardzo interesujące.

— Wprost niezwykłe!

— Świetne!

— Istotnie, szanowny pan posiada zęby, jakich dawno nie widziałem.

— Pan mi sprawia prawdziwą przyjemność.
— Tak jest; proszę pana, pan nie ma ani jednego zdrowego zęba.



Z KALOTECHNIKI.

Zniecierpliwiona. Anemję trzeba koniecznie leczyć. Na drugie pytanie odpowiemy tylko listownie po podaniu adresu i nazwiska. —

Marylce. Myć w ciepłej wodzie dwa razy dziennie, na miednicę wody rano dolewać łyżkę formaliny, na noc dosypywać łyżkę kwasu bornego.

por. Z. M. przestaną wypadać: lekarz który pana leczy ten fakt przewidział. Bardzo dobre. Za zaufanie dziękujemy.

Porady kosmetyczno-lekarskie w „Kalotechnice" Warszawa, Marszałkowska 116. —

Pani K. L. w Łomży. Można używać ten sam puder. Zastosowanie przy masażu twarzy aparatów katodowych jest rzeczywiście wskazane. Można. Uważnie i umiejętnie, żeby nię poparzyć.



DLA PANÓW NA SEZON
PALTA I GARNITURY

GOTOWE I NA ZAMÓWIENIE POLECA

F. JANIAK

WSPÓLNA 41, róg Marszałkowskiej.

WIELKI WYBÓR! CENY PRZYSTĘPNE!



Siwe włosy często choć i pozornie jednak wskazują na zbliżającą się starość. Kto posiwiał może przywrócić siwym włosom pierwotny kolor połysk i miękkość używając od czasu do czasu bezwarunkowo nieszkodliwego:

* ORIENTINE *

/REGENERATEUR/

który jest bardzo prosty w użyciu nie brudzi ani skóry ani bielizny nadając włosom śliczny naturalny kolor.
Do nabycia w lepszych składach perfum i apt.

PARFUMERIE D'ORIENT VARSOVIE

*



NA RATY SPŁATY DŁUGOTERMINOWE

SUKNO
KAMGARNY
KORTY, SZEWIOTY
GARBADINY
oraz towary bieliźniane
OKRYCIA DAMSKIE
UBIORY MĘSKIE

Gotowe i na zamówienie wykonywamy we własnych pracowniach.

„POLSZYK" Niecała 2, tel. 295-08.

FILCE

w różnych gatunkach i kolorach po cenach konkurencyjnych

POLECA:

M. RYBA, Warszawa, Franciszkańska 26 Front tel. 144-93



NA RATY!

Firma nasza była pierwszą, która w czasach wojennych dawała i daje obecnie **NA RATY!**

Żadna inna firma nie jest w możności wykonać obstalunku pierwszorzędnej roboty podług ostatnich modeli z najlepszych materjałów PO CENACH TAK NIZKICH, jak przyjmuje nasza firma:

PRACOWNIA NA MIEJSCU

Wielki wybór ubiorów męskich, okryć damskich i palt, towary manufakturowe na metry jedwabie i towary bieliźniane na warunkach najdogodniejszych. Z tej okazji korzystać mogą też mieszkańcy za miejscowi.

Firma „OSZCZĘDNOŚĆ" Nowogrodzka 4 sklep. Tel. 228-42.

UWAGA: Urzędnikom państwowym i miejskim specjalny rabat.

Odp. Red-wydawca ST. KRZYWOSZEWSKI. Druk Galewski i Dau, Warszawa.

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
II „	135.—	68.—	34.—	17.—	9.—
III „	135.—	68.—	34.—	17.—	9.—
IV „	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
W tekście	250.—	125.—	63.—	32.—	18.—
Przed romansem	200.—	100.—	50.—	25.—	15.—

STRONA OPISOWA: Złp. 250. —FOTOGR. I KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: KRON. TOWARZ. I KOMUNIKATY za 1 m/m 50 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 80 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:

W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"

SZPITALNA 12. Tel.: Administr. 504-00, Ekspedycja 47-25.

Konto czekowe P. K. O. № 3755.

Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.) W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81. księgarnia „Czytaj" Dzielna 2 Filja Katowice Górnicza 13 skrz. poczt. 211. CENA PRENUMERATY w Warszawie mies. Mk. 6.500.000—kw. 19.500.000 z odnoszeniem do domu mies. Mk 6.750.000 — kw. 20.250.000, na prowincji mies. 7.500.000—kw. 22.500.000. Zagranicą podwójnie. Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA